

DANIEL GRINBERG

ROLA ŚWIADOMOŚCI HISTORYCZNEJ W KSZTAŁTOWANIU  
DZIEJÓW NASZEJ EPOKI<sup>1</sup>

Żyjemy w czasach określanych skrótowo jako postnowoczesność, w których wszystko miesza się ze sobą w sposób na pozór dowolny; nie obowiązują żadne sztywne reguły i zakazy, w fizyce króluje teoria chaosu, zaś twórcy posługują się najchętniej techniką kolażu; czasach, w których odnosi triumfy homo economicus, o zachowaniach ludzi decydują pieniądze i żelazne prawa gospodarki rynkowej, liczy się przede wszystkim efektywność i racjonalność; czasach, w których ogłaszano już triumfalnie koniec historii, zaś tradycja, tracąc gwałtownie swój zniewalający przez wieki urok nie przesądza już jak dawniej o ludzkich wyborach i zachowaniach.

Zaiste, trzeba dużego wysiłku woli aby w takich warunkach uwierzyć, iż wiedza historyczna jest jeszcze ludziom do czegoś potrzebna, że przeszłość, prócz zaspokajania głodu poznawczego gromadki pasjonatów, kryje jeszcze w sobie jakieś ważne dla współczesnych przesłania. A jednak tak właśnie jest, choć nam wszystkim, zanurzonym w żywym nurcie wydarzeń, trudno to sobie na co dzień wyobrazić. Aby to udowodnić musimy zastanowić się przez chwilę nad relacjami i związkami łączącymi przeszłość z przyszłością. Jednostronny i banalny porządek wynikania oparty na inercyjnej sile ciągłości i tradycji, w którym przeszłość oddziałuje na teraźniejszość, ta zaś z kolei modeluje przyszłość, staje się relacją zwrotną w momencie wprowadzenia doń zapośredniczenia w postaci świadomości historycznej. W takim ujęciu nasza współczesna rzeczywistość w dalszym ciągu nie potrafi naturalnie zmieniać przeszłości, lecz za to silnie wpływa na jej obraz. Wizja minionych wydarzeń ulega znaczącym zmianom i deformacjom pod wpływem zmieniającej się optyki (a także kategorii pojęciowych) świata, w którym badacz jest zanurzony. Zjawisko to, zwane prezentyzmem, opisywane było wielokrotnie. Znacznie rzadziej postrzegane jest natomiast zjawisko odwrotne – oddziaływanie wiedzy o przeszłości na decyzje i wybory polityczne dokonywane przez współczesnych. To ono właśnie przesądza o bezowocności podejmowanych tylekroć prób ucieczki od historii, skazuje na klęskę bunty przeciwko jej „tyraniu” i w ostatecznym rachunku premiuje tych, którzy prawdy i mity historyczne potrafią przekuć w skuteczne narzędzia oddziaływania politycznego. Albowiem nie jest wcale tak, iż my z epoki chipów komputerowych różnimy się zasadniczo (psychologicznie i moralnie) od naszych przodków z „galaktyki Gutenberga”, czy z czasów strzelistych gotyckich katedr. Argumentacja odwołująca się do wybranych aspektów przeszłości (niekoniecznie metodologicznie poprawna, czy zgodna z tzw. prawdą historyczną) wciąż

---

<sup>1</sup> Wykład inauguracyjny na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu w Białymstoku wygłoszony 3 października 1997 roku.

jeszcze ma znaczący wpływ na zachowania współczesnych, choć, przyznajmy, nie jest on już tak duży jak niegdyś. I choć świadomość historyczna jednostek i grup ludzkich z końca XX wieku jest z całą pewnością odmienna od tej jaka cechowała naszych poprzedników, to jednak stanowi ona dla nas w dalszym ciągu istotną przesłankę rozumowania; na tyle istotną, aby w odczuciu społecznym być uznawaną za kwestię zbyt ważną, by pozostawić ją samym historykom. Szeroki strumień publicystyki historycznej oraz dzieł artystycznych czerpiących inspirację z „dziejowych pomroków” świadczy o tym dowodnie.

Przynajmniej do połowy XVIII w. ludzie naszego kręgu cywilizacyjnego żyli w stabilnym świecie uformowanym przez tradycję, świecie czerpiącym legitymację z wiary mocno powiązanej z historią, a raczej specyficzną wizją dziejów. W tym zdominowanym przez religię i przeszłość świecie blisko 60% wszystkich publikacji odnosiło się do historii. Trudno się zatem dziwić, że miała ona tak silny wpływ na sposób myślenia i motywacje ówczesnych polityków. Wraz z filozofią Oświecenia i zapoczątkowaną w Anglii rewolucją przemysłową opartą na przyspieszonym postępie technicznym pojawił się jednak Modernizm, pociągając za sobą zmianę podstawowych korelatów ludzkiej samoidentyfikacji. Oświeceniowy racjonalizm czerpiący inspirację z nauk przyrodniczych, kierując się przekonaniem, że natura ludzka jest jedna i niezmienna, a formuje nas nie nawarstwiająca się przeszłość, lecz proces wychowawczy, stracił historię z dotychczasowego piedestału. W zgodnej opinii filozofów XVIII wieku nowy człowiek, wyzwolony z pęt historii i kierujący się rozumem, miał ucieleśniać szlachetne ideały braterstwa i jedności rodzaju ludzkiego. Oświeceniowy uniwersalizm przyniósł jednak w rzeczywistości zgoła paradoksalne rezultaty: walkę z „tyranią” w imię wolności owocującą despotycznym rewolucyjnym terrorem, zaś potem – pojawieniem się nacjonalizmów wrogich wszelkiemu uniwersalizmowi. Koncepcja istoty ludzkiej wolnej od uwikłań historycznych oraz indywidualności kulturowej okazała się po raz pierwszy czystą fikcją.

Zdominowany przez roznamiętnione politycznie nacjonalizmy wiek XIX określane bywa niekiedy, nie bez racji, jako „wiek historii”, nie tylko ze względu na przyspieszone tempo wydarzeń i rozwoju cywilizacyjnego. Oto historia (ta prawdziwa i ta sfabrykowana dla potrzeb chwili) stała się wówczas głównym argumentem legitymizującym często sprzeczne ze sobą roszczenia (terytorialne bądź duchowe) kawałkującej się gwałtownie ludzkości na obszarze Europy i Ameryki Południowej. Nie była to już jednak historia taka sama jak dawniej. Miejsce Biblii oraz grecko-rzymskich mitów zajęły teraz jako główny punkt odniesienia dzieje narodowe. Jednocześnie do parlamentów, gabinetów i redakcji wkroczyli masowo patriotycznie nastawieni historycy uzbrojeni w argumenty na każdą okazję. W sporach szermowano dowolnie konstruowanym podziałem na narody „historyczne” (te lepsze) i „niehistoryczne”, którym z tego powodu odmawiano naturalnych uprawnień przysługujących tym pierwszym. Inteligencji poczuwający się do wspólnoty losu z niedowartościowanymi (pokrzywdzonymi) narodami czy grupami społecznymi tworzyli w rewanżu w oparciu o historię mity kompensacyjne stanowiące podstawę nowych ideologii o rewolucyjnej wymowie. Dopiero pojawienie się pod koniec wieku darwinizmu społecznego osłabiło nieco rolę argumentacji historycznej w polityce międzynarodowej i wewnętrznej, zwłaszcza zaś w typowych dla tej epoki sporach kolonialnych i imperialistycznych. Tym niemniej nie będzie nadużyciem stwierdzenie, iż oprócz podziałów terytorialnych i językowych właśnie poczucie wspólnej przeszłości przyczyniło się najbardziej do uformowania państw narodowych w takich a nie innych granicach, a później do skutecznego narzucenia przez nie swoim obywatelom identyfikacji emocjonalnej z tak ukształtowanym

państwem. Przepojona patriotyzmem nauka historii stała się w ręku państwa narodowego najistotniejszym instrumentem scalającym obywateli i zapewniającym mu sukcesy w wypadku konfliktów zbrojnych. W miarę upowszechniania praw wyborczych oraz szkół publicznych rósł udział mas w życiu politycznym. Jednocześnie rosła też ich podatność na szowinistyczne argumenty demagogów zaczerpnięte ze szkolnych podręczników.

Pojawienie się na arenie międzynarodowej Stanów Zjednoczonych, kraju niezakorzonego w historii, stworzonego ex nihilo, wysiłkiem woli, jako emanacja osiemnastowiecznych ideałów zdawało się początkowo nową szansą na uniknięcie animozji prześladowanych obszary o bogatej i różnorodnej przeszłości.

„Jakże ci nasz stary kontynent zazdrości  
Szczęśliwy Nowy Świecie  
Ciebie nie trapią demony przeszłości:  
Zmurszałe zamczyska i inne rupiecie”

– pisał Goethe w pięknej *Odzie do Stanów Zjednoczonych*. Ta utopijna wiara idealistów w czystość świata wolnego od tradycji musiała jednak ulec zniszczeniu w konfrontacji z rzeczywistością. Amerykanie stworzyli sobie szybko własną mitologię historyczną wspierającą ich poczynania wobec Indian oraz politykę w Ameryce Łacińskiej. Powołując się na Manifest Destiny, oczywiste przeznaczenie tkwiące u podstaw ich państwowości, dokonali podboju kontynentu, wchłaniając przy okazji ponad połowę ówczesnego Meksyku i podporządkowując sobie politycznie prawie całą półkulę zachodnią. Im też przyświecały racje historyczne, podobnie jak obu zwąśnionym stronom: Północy i Południu podczas krwawej bratobójczej wojny secesyjnej.

Historia jako fatum i surowy nauczyciel, bezlitośnie karzący wszystkie błędy, zwłaszcza zaś jej nieznamość, jest wszechobecna nawet w tekstach dziewiętnastowiecznych rewolucjonistów, choć nie dotyczy to z równą mocą klasyków anarchizmu. Widać to szczególnie wyraźnie w pracach Karola Marksa, z słynnym wstępem do *Manifestu Komunistycznego* na czele. Można chyba zaryzykować stwierdzenie, iż ów wszechobecny dziewiętnastowieczny historyzm, tak silnie oddziaływający na życie publiczne był na gruncie ówczesnej humanistyki odpowiednikiem darwinizmu w naukach przyrodniczych – zaspokojeniem silnie odczuwanej potrzeby odnajdywania ładu i sensu w rwącym naprzód potoku wydarzeń, a zarazem gwarantem ciągłości i nieprzypadkowości postępu jaki stał się udziałem naszej cywilizacji.

Wprawdzie klasyczny historyzm przeżywał w końcu ubiegłego wieku wyraźny kryzys spowodowany nie tylko załamaniem się powiązanego z nim scjentyzmu, ale i bezradnością jego aparatu pojęciowego wobec świata kolonialnego, z którym Europejczycy mieli coraz większy kontakt, to jednak Zachód wkraczał w wiek dwudziesty w dalszym ciągu przesycony historią. Teraz jednak, w epoce triumfującej awangardy w muzyce i sztukach plastycznych, argumentacja odwołująca się do przeszłości coraz częściej wspierać miała czcicieli nowości. Rozentuzjasmowane tłumy witające wiek dwudziesty na Times Square, Trafalgar Square, czy Polach Elizejskich miały poczucie skoku w nieznaną; spodziewały się jednak wielkich i korzystnych zmian, toteż z góry dawały na nie swoje przyzwolenie. Nie były wszakże, mimo wszystko, przygotowane przez poprzednią epokę na to, co rozpoczęło się w roku 1914. Tam gdzie oczekiwały głębokich lecz ewolucyjnych reform dokonały się bowiem w krótkim czasie rewolucyjne zmiany całkowicie odmieniające najistotniejsze realia społecznego bytowania. W długich dziejach ludzkości rozpoczął się nowy okres, który świadkowie epoki scharakteryzowali później zwięźle i dobitnie jako „historię spuszczoną z łańcucha”, okres sta-

nowiacy niejako realizację płomiennych nawoływań Majakowskiego do „zajeżdżania kobyły historii” („Lewą marsz”).

Światowy konflikt zbrojny lat 1914-1918, którego rozmiarów, długotrwałości i okrucieństwa nie przewidywała i nie zaplanowała żadna z walczących stron, wyrwał się szybko spod kontroli dyplomatów i sztabowców. Miał oczekiwanej powtórki szybkiej wojny manewrowej na modłę minionej epoki nastąpiła długa, wyniszczająca wojna pozycyjna wymagająca przestawienia całej gospodarki na użytek frontu i angażująca ludność cywilną w stopniu dotąd niespotykanym. Wobec tej nowej rzeczywistości zawodziła tradycyjna dyplomacja odwołująca się do starych historycznych wzorców. Po raz pierwszy uświadomiono sobie też z całą mocą zagrożenia wynikające z faktu, iż technika stojąca do dyspozycji człowieka przerosła wyobraźnię i świadomość historyczną swego twórcy.

Zwycięskie mocarstwa Ententy wyciągnęły wnioski z tragedii, która rozegrała się w Europie podejmując w czerwcu 1919 r. w Wersalu ambitną, choć nie w pełni konsekwentną, próbę oparcia ładu międzynarodowego na nowych wzorach. W praktyce jednak ludźmi najbardziej zapracowanymi na konferencjach przygotowujących zawarcie pokoju z Państwami Centralnymi byli, nieprzypadkowo, historycy. To oni, bardziej niż przeprowadzane okazjonalnie plebiscyty, decydowali o kształcie nowej mapy politycznej. Świadomie i nieświadomie próbowali poprawić to, co nie udało się w roku 1815.

Nowe państwa utworzone na gruzach monarchii austro-węgierskiej i rosyjskiej, traktowane nierzadko z wyższością jako „sezonowe”, w poszukiwaniu legitymizacji odwoływały się najczęściej do historii, niekiedy bardzo głębokiej (tej sprzed bitwy na Kosowym Polu w wypadku SHS/Jugosławii, czy sprzed bitwy pod Białą Górą w wypadku Czechosłowacji). Odrodzona Polska, związana z Francją nie tylko przymierzem polityczno-wojskowym ale i historyczno-kulturalnymi więzami, nadała niezwykle rangę kultowi armii, powstań narodowych i epoki napoleońskiej. Historyczne doświadczenia i uprzedzenia determinowały też stosunek do potężnych sąsiadów na wschodzie i zachodzie. Polityczne koncepcje piłsudczyków (idea federalcyjna, Międzymorze) zainspirowane były przeszłością w stopniu nieporównanie większym niż realiami bieżącymi. Z szesnastowiecznej Polski Jagiellonów czerpano (trochę na wyrost) wzory przy próbach konstruowania polityki regionalnej. Nie mogło być zresztą inaczej w społeczeństwie tak silnie zakorzenionym w historii, zawdzięczającym przetrwanie 123 lat zaborów silnemu przywiązaniu do religii i tradycji narodowych.

Również polityka żydowska w znacznym stopniu zdeterminowana została przez pamięć historyczną. Sukces syjonizmu, traktowanego początkowo, nie bez racji, jako oderwaną od realiów czystą utopię, a przecież skutecznie rywalizującego z innymi wariantami ideowymi, polegał w głównej mierze na umiejętnym wykorzystaniu integracyjnej siły tradycji dla potrzeb politycznych. Aby stworzyć nowoczesny żydowski nacjonalizm sięgnięto głęboko w przeszłość, aż do starożytności.

Dobry sprawdzian siły odniesień historycznych w kształtowaniu dziejów najnowszych stanowią losy Niemiec i Rosji Radzieckiej – dwóch krajów, które znajdując się na obrzeżach systemu wersalskiego stworzyły pierwowzory władzy totalitarnej o zdumiewającej sile oddziaływania. Zarówno III Rzesza jak i Związek Radziecki powstały jako owoc rewolucyjnego zerwania ciągłości dziejowej, głosiły radykalną negację przeszłości, a cele swe (1000-letnia Wielka Rzesza, Wszechświatowy Komunizm) umieszczały w odległej przyszłości. Akcentując wszechwładzę i wszechmoc państwa dawały do zrozumienia, że nie istnieją dlań żadne histo-

ryczne konieczności. Stosowana przez nie i będąca przedmiotem dumy „inżynieria społeczna” na gigantyczną, nieznaną dotąd, skalę miała stworzyć zupełnie nowy typ człowieka uwolnionego od balastu tradycji i potocznej moralności. Jednakże ucieczka od wolności poprzez „rewolucję nihilizmu” (wg słynnego sformułowania Hermanna Rauschninga) tylko pozornie sprawiała wrażenie całkowitej negacji przeszłości. W rzeczywistości posługiwano się starannie wybranymi elementami dziejów powszechnych i narodowych; co więcej w miarę krzepnięcia obu systemów okazywały się one coraz bardziej niezbędne. Nie były też zupełnie dowolne. Aby uzyskać wstępny sukces, a potem umocnić raz zdobytą władzę charyzmatyczni przywódcy musieli odwoływać się do istniejących już przesądów i mitów, budzić z letargu uśpione demony tkwiące głęboko w pokładach społecznej świadomości.

Nie tylko ideologia komunistyczna ale i faszyzm Hitlera, z tak charakterystycznym dlań antysemityzmem, kultem siły i romantycznym, volkistowskim pojmowaniem narodu, zakorzenione były głęboko w myśli dziewiętnastowiecznej. Obie ideologie chętnie też sięgały do uproszczonej wizji dziejów w poszukiwaniu potwierdzających ich słuszość argumentów. Polityka zagraniczna prowadzona przez III Rzeszę i ZSRR, odcinająca się oficjalnie od przeszłości, w praktyce nawiązywała do idei i uzasadnień sformułowanych przez dyplomację pruską i rosyjską XVIII-XIX w. Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych sięgnięto bezceremonialnie do zasobów tradycyjnego nacjonalizmu. Radzieckie filmy i dzieła historyczne zaczęły słać zwycięskich wodzów (Aleksander Newski, Admirał Nachimow, Kutuzow) i wielkich poprzedników Stalina (Piotr Wielki, Iwan Groźny) z czasów potępianego w czambuł samodziśławia. Po początkowych klęskach w roku 1942 pojawiły się nawet odwołania do prawosławia i zdawałoby się wyeksploatowanego już ideowo pansławizmu.

W państwie hitlerowskim popularyzowano Fryderyka Wielkiego, Bismarcka i dzielnego „wujka Krügera” – prezydenta burskiego Transwalu dającego dobry przykład jak stawiać opór „perfidnemu Albionowi”. Obrońcy twierdzy Kolberg (Kołobrzeg) z czasów wojen napoleońskich mieli z woli Goebbelsa w ostatniej chwili natchnąć duchem oporu resztki cofającego się Wehrmachtu. Sam Hitler, cierpiący jak się zdaje na kompleks Napoleona, usiłował wykazać swą wyższość nad Cesarzem Francuzów wybierając tę samą co on datę ataku na Rosję (22 czerwca), z takim samym zresztą wiadomym skutkiem. Fakt, iż klęskę Francji przypieczętował w czerwcu 1940 r. w tym samym wagonie kolejowym, w którym przedstawiciele wilhelmińskich Niemiec podpisywali zawieszenie broni w r. 1918 świadczy dobitnie, iż historia nie była mu obojętna. To samo powiedziec wypada o wodzach Rewolucji Październikowej. Najszczęśliwszym dniem w życiu Lenina był ten, w którym uświadomił sobie, że władza bolszewików trwa dłużej niż Komuna Paryska z roku 1871. Podejmując decyzje kierował się przede wszystkim chęcią uniknięcia „historycznych” błędów popełnionych przez jakobinów i komunistów. Jego najbliższy współpracownik, Leon Trocki, z maniackim wręcz uporem traktował wydarzenia francuskie z lat 1789-1795 jako matrycę wszystkich rewolucji doszukując się ich bezpośrednich odpowiedników w dziejach Rosji Radzieckiej.

Również monumentalna sztuka totalitarna, mimo pozorów nowości, pełnymi garściami czerpała z dorobku przeszłości, przede wszystkim antyku i średniowiecza. Włochy Mussoliniego z całym rozmysłem odwoływały się do Imperium Rzymskiego z czasów jego największej świetności. Militarystyczna Japonia pobudzała wrogość do Chin poddanych swojego obdarzonego boskością Cesarza przypominając wydarzenia, które rozegrały się w końcu XVI wieku (nieudany desant chiński na Honsiu).

W tzw. demokracjach zachodnich fenomen społeczeństwa masowego owocował od czasów Wielkiego Kryzysu rosnącą polaryzacją między lewicą a prawicą. Zwolennicy tej pierwszej idealizowali starcia klasowe ubiegłego wieku tworząc panteon świętych z wybitnych postaci ruchu socjalistycznego. Zwolennicy skrajnej prawicy w rodzaju Action Française starali się, dla odmiany, odrodzić tradycje monarchistyczne w duchu średniowiecznej teokracji. Korporacyjne państwo Salazara w Portugalii, jak również system frankistowski w Hiszpanii nawiązywały wyraźnie do czasów jedności Tronu, Buławy i Ołtarza. Na podobnych wzorach próbował stworzyć w Vichy swoje Państwo Francuskie marszałek Petain.

Przebieg drugiej wojny światowej odebrał z pewnością część wiary obrońcom tezy o powtarzaniu się Historii. Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej niż w r. 1914. Tym razem to nie Niemcy, lecz Francja podpisywała kapitulację w wagonie kolejowym (tym samym!) pod Compiègne. Ba, sama wojna miała tym razem zupełnie inny charakter, a okupacja niemiecka nie przypominała w niczym tej pierwszej, o czym przekonać się mieli najboleśniej europejscy Żydzi, Cyganie i Słowianie. Pamięć historyczna okazała się jednak niezwykle przydatna w procesie tworzenia polskiego Państwa Podziemnego czerpiącego obficie z wzorów działania wypracowanych w czasach Powstania Styczniowego.

Po wojnie zwycięska koalicja stanęła przed zadaniem kształtowania od podstaw nowego porządku światowego. Znowu było to naprawianie „błędów” popełnionych poprzednim razem, t.j. w latach 1918-1920. ONZ miało być lepszą, sprawniejszą i powszechniejszą wersją Ligi Narodów, wyposażoną w organa wykonawcze, środki przymusu oraz mechanizm zabezpieczający interesy wielkich mocarstw. Polityka wobec Niemiec i Japonii miała raz na zawsze wyeliminować jakiegokolwiek zagrożenie z ich strony. Pod wpływem wydarzeń wojennych w krajach słowiańskich odrodziła się na krótko idea trwałej federacji wymierzonej przeciwko germańskiemu zagrożeniu, którą udało się Stalinowi spacyfikować z niemałym trudem.

W państwach tzw. demokracji ludowej zwycięska lewica poszukiwała historycznych antecedensów w odległej nieraz przeszłości, przekreślając zarazem całkowicie dorobek rządów przedwojennych. Z oczywistych względów odwoływano się w pierwszym rządzie do niepomniernie wyolbrzymianych rodzimych tradycji ludowych, robotniczych i rewolucyjnych oraz pozytywnych przykładów z kontaktów dziejowych z Rosją i Rosjanami. Nowe władze dokładały wszelkich starań, aby zawłaszczyć „postępowe” wątki dziejów narodowych i przedstawić realizowaną przez siebie politykę jako naturalną kontynuację tych tradycji.

W PRL historia zaprzęgnięta do rydwanu władzy układała się w gotowe schematy. Prześnią, ludową Polskę Piastów, obfitującą w konflikty z Cesarstwem i Krzyżakami, a nade wszystko bliską terytorialnie nowym granicom państwa, przeciwstawiono pańskiej, ekspansywnej na Wschodzie, Polsce Jagiellonów, do której odwoływał się Piłsudski. Mit odwiecznej wrogości polsko-niemieckiej pozwalał prezentować Niemcy Zachodnie jako nowe wcielenie Zakonu, zaś ich chadeckiego kanclerza – Konrada Adenauera – jako uosobienie pruskiego militarystyki i rewanżyzmu. Publicystyka obozu rządzącego karmiła się wzorami perswazyjnymi czasów Stanisławowskich i warszawskiego pozytywizmu. W miarę upływu lat w kluczowej kwestii stosunku do Rosji i Niemiec coraz mocniej uwidaczniały się w niej argumenty zaczerpnięte z myśli endeckiej. Z romantyzmu ocalał jedynie wątek rewolucyjny i internacjonalistyczny reprezentowany przez nośne hasło „Za wolność waszą i naszą” nadające się świetnie do prezentacji II wojny światowej w zniekształconym świetle.

Lansowany oficjalnie obraz piastowskiej genezy PRL-u zderzył się czołowo podczas obcho-

dów milenijnych lat 60-ych z tradycjonalistyczną wizją katolickiej Polski głoszoną przez Kościół. Już wówczas uważni obserwatorzy musieli dojść do wniosku, że komunistom polskim, jako jedynym, nie udało się, głównie z przyczyn religijnych, przechwycenie symboli i tradycji narodowych. Innym powodem mogło być istnienie na emigracji konkurencyjnych ośrodków politycznych zachowujących pewne wpływy w kraju. W sposób naturalny usiłowały one nawiązywać do form działania i rozwiązań z epoki Wielkiej Emigracji.

Wpływ świadomości historycznej na politykę bieżącą nie ograniczał się bynajmniej do krajów europejskich. Przeciwnie, uwidaczniał się najbardziej w krajach trzeciego świata zrzucających właśnie resztki zależności kolonialnej. Poszukując własnej drogi rozwoju i nowej tożsamości sięgały one nieodmiennie do czasów przedkolonialnych. Przywracano dawne nazwy, prawa i instytucje po to tylko, aby przekonać się wkrótce, że taki powrót do przeszłości nie jest możliwy i nie da się przekreślić skutków długich rządów białego człowieka w Afryce i Azji. W efekcie zmienione historyczne szyldy kryją tam często rzeczywistość daleką od autentycznych tradycji, poczynając od granic państwowych, a kończąc na tytułach urzędniczych.

Zmitologizowani bohaterowie walk narodowo-wyzwoleńczych XVIII-XX wieku stali się pod koniec lat sześćdziesiątych natchnieniem dla nowego pokolenia rewolucjonistów wypowiadających wojnę klasową imperializmowi amerykańskiemu. W Ameryce Łacińskiej zariłło się od sukcesorów Tupaca Amaru, Farabundo Marti, czy Augusto Cesara Sandino, choć gwoli prawdy ich poglądy i działania miały niekiedy niewiele wspólnego z patronami. Lewacy europejscy, zniechęceni biurokratycznym socjalizmem typu radzieckiego w tym samym czasie odkurzali portrety młodego Marksa, Róży Luksemburg i Antonio Gramsciego. W pragmatycznej Ameryce przywódcy ruchu na rzecz pełnej emancypacji obywatelskiej ludności kolorowej odrzucili z dużym powodzeniem stosowane przez Gandhiego 40 lat wcześniej metody biernego oporu cywilnego. Po latach nawiązać do nich miała, z całą świadomością, także polska Solidarność.

Opozycja demokratyczna, która wyłoniła się w gierkowskiej Polsce lat 70-ych próbowała wskrzesić zapomniane wówczas tradycje pierwszego pokolenia działaczy niepodległościowych sprzed pierwszej wojny światowej, o których z taką pasją pisał Bohdan Cywiński w *Rodowodach niepokornych*. Z niepozornej broszurki Piłsudskiego uczono się na nowo jak wydawać i rozprowadzać „bibułę”. Inteligenckie kontakty z robotnikami nawiązywano według schematów wypracowanych sto lat wcześniej przez PPS. „Robotnik”, „Głos” i inne czołowe wydawnictwa podziemne nawet nazwami sugerowały łączność z dawnymi czasami. Przeciwnicy ideowi KOR-u tkwili równie mocno w historii drapując się w szaty neoendeków (Ruch Wolnej Polski Aleksandra Halla), bądź neopiłsudczyków (KPN Leszka Moczulskiego). Wyglądało to tak jak gdyby polska myśl polityczna, zamrożona przez kilkadziesiąt lat po dojściu do władzy komunistów, odradzała się w anachronicznej postaci impregnowanej na realia świata współczesnego.

To, co wydarzyło się później, mamy jeszcze wszyscy świeżo przed oczyma: strajki sierpniowe w Gdańsku i Szczecinie odwołujące się do doświadczeń z roku 1970, narodziny niezwyklego związku zawodowego stylem działania zdumiewająco przypominającego staropolskie konfederacje, tajna działalność w okresie stanu wojennego nawiązująca wyraźnie do wzorów okupacyjnej działalności podziemnej, gorbaczowowska głośność zainspirowana identyczną taktyką reformatorską cara Aleksandra II i wreszcie pamiętny dla Europy Środkowowschodniej rok 1989 nasuwający wszystkim obserwatorom porównania z Wiosną Ludów (1848). Zbyt

długi to, zaiste, i nieprzypadkowy, ciąg wydarzeń, by dalej podtrzymywać tezę o rzekomej ahistoryczności epoki, w której wypadło nam żyć.

Przerwijmy jednak w tym miejscu nasz skrótowy przegląd historycznych uwarunkowań kryjących się w dziejach najnowszych i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie czy zgromadzony materiał pozwala na jakieś uogólnienia. Niewątpliwie, można zeń wydobyć rozmaite wnioski; pewne kwestie wydają się jednak bezsporne. Choć historia jako przedmiot wiedzy już dawno temu straciła zajmowaną niegdyś uprzywilejowaną pozycję, to jednak tkwi dalej, jako pamięć o przeszłości, w umysłach jednostek, grup ludzkich i całych narodów, zachowując istotny wpływ na ich postawy. To, co nazywamy potocznie historycznym doświadczeniem jest właśnie formą w jakiej pamięć ta interweniuje w wydarzenia bieżące. Pozostaje jednak inne niepokojące pytanie: w jaki sposób jakość naszej świadomości historycznej rzutuje na skuteczność podejmowanych decyzji?; czyli, formułując to nieco dobitniej, czy prawdy, półprawdy i zmyślenia w równym stopniu kształtują naszą rzeczywistość?

Nie brak pesymistów przekonanych o politycznej wyższości kłamstw i mitów w realiach społeczeństwa masowego. O ile jeszcze w wieku dziewiętnastym adepci wdzięcznej muzy Klio głosili z ufnością, że tylko prawdziwa historia stać się może mistrzynią prawdziwej polityki, wiek dwudziesty, zwłaszcza zaś doświadczenia epoki totalitarnej, kazał im gruntownie zrewidować uprzednio zajmowane stanowisko. Zbiorowa świadomość historyczna okazała się plastyczna i niezwykle podatna na fachową manipulację psychologiczną. A jednak, nie do końca, skoro tak szybko, po kilkudziesięciu latach „prania mózgów”, odrodziła się w starych formach, niekiedy aż nazbyt bezkrytycznych wobec przeszłości. Dlatego zachowuję w tej kwestii umiarkowany, bynajmniej nie urzędowy, optymizm. Jak mówią Amerykanie, można oszukać wielu na krótko, bądź niewiele na długo, ale nie można oszukać wszystkich jednocześnie i na zawsze. W ostatecznym rachunku i na długi dystans opłaca się politycznie tylko prawda, choćby najbardziej bolesna. Ci, którzy żyją w świecie mitów płacą za to w końcu na ogół bardzo wysoką cenę.

Kierując się tym przekonaniem, mogę, kończąc, z czystym sumieniem zachęcić Państwa do sięgania po lektury historyczne, zalecając taki ich dobór by reprezentowały różne stanowiska. Konfrontując poglądy różnych autorów mamy nie tylko przyjemność płynącą z bezinteresownego poznawania przeszłości; uczymy się zarazem szacunku dla opinii odmiennych i wyrabiamy w sobie niezbędny krytycyzm uodparniający na manipulacje świata polityki. Historia nie jest i, zapewne, nigdy nie była, prawdziwą nauczycielką życia. Nie powtarza się; jej znajomość nie chroni przed popełnianiem błędów i nie czyni z historyków wybitnych polityków. Daje jednak niezbędny dystans pozwalający oglądać spieniony tok wydarzeń współczesnych z nieco innej, spokojniejszej perspektywy.